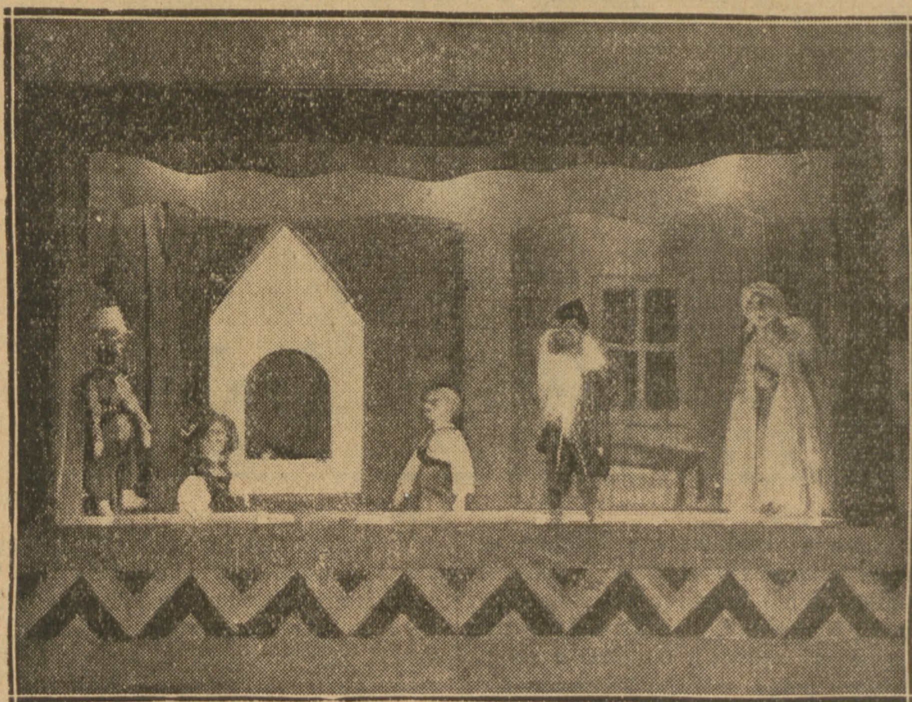
NR. 5 NIEDZIELA, 15 MARCA 1931 R. ROK VI

PRZYJACIEL DZIECI DODATEK DO ROBOTNIKA
Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci

TEATR KUKIEŁEK

Zapewne wiecie, mili czytelnicy, że teatr kukiełek, czyli marjonetek, polega na tem, że na maleńskiej scence, zamiast żywych ludzi, lub dzieci, występują laleczki-kukiełki i, poruszane wprawną ręką, wykonują różne ruchy w tak muzyki i śpiewu.



Niewidzialni aktorzy mówią, lub śpiewają treść granej sztuczki.

Kukiełkowe teatrzyki nie są nowością lat ostatnich. Wszystkie prawie ogrody publiczne w Paryżu mają oddawna takie tetatrzyki, zwane **„Guignol"**, gdzie na świeżem powietrzu i pod odkrytem niebem odbywają się przedstawienia. Niskie ławeczki obsiada szczelnie najmłodsza ludność stolicy Francji, a nieustanny śmiech i klaskanie w ręce, dowodzą, jak dziatwa szalenie lubi tego rodzaju widowisko.

U nas już przed kilkudziesięcioma laty w Warszawie, a szczególniej na prowincji w czasie karnawału od domu do domu krążyły przenośne kukiełkowe teatrzyki, zwane szopkami. Twórcami ich i niewidzialnemi aktorami bywała najczęściej

grupa terminatorów rzemieślniczych, którzy wieczorami po skończonej pracy w warsztacie starali się w ten sposób zarobkować.

Osią szopki były różne momenty z epoki Narodzenia Pana Jezusa, a więc rzeź dzieci z rozkazu okrutnego króla Heroda, rozpacz królowej, gdyż gorliwi wykonawcy woli króla nie oszczędzili nawet jego synka, wreszcie koniec zbrodniczego Heroda, któremu koścista śmierć w oczach przerażonych widzów ścinała kosą głowę. Dwa rogate djabły o długich ogonach i czerwonych, niby ogniem ziejących ustach, ogromnemi widłami, z okrzykiem i wyciem zabierały ciało króla do piekła.

Prócz tej pełnej grozy sceny liczne kukiełki, ubrane w malownicze ludowe ubrania wytańcowywały mazury i oberki w takt śpiewanych ludowych piosenek.

W okresie rewolucji, t. j. koło 1905 roku rząd rosyjski zabronił chodzić z szopką, upatrując może w tem obchodzeniu domów antypaństwową propagandę.

Potem jakoś nie słyszało się o kukiełkach.

Dopiero w 1928 roku **Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci,** czujne na wszystko, co mogłoby zainteresować najmłodsze pokolenie, powzięło szczęśliwą myśl urządzenia stałego teatrzyku kukiełek w Oddziele swym na Żoliborzu.

Przedstawienia te ze wszech miar zasługują na uwagę i wszystkie dzieci powinny je zobaczyć.

Repertuar zmienia się co kilka tygodni, a każde widowisko szczerze zachwyca dzieci.

Sztuczki p. Marji Kownackiej cieszą się ogromnem powodzeniem i dzieci z zapartym oddechem śledzą za biegiem akcji.

Dwie załączone fotografje pozwolą naszym czytelnikom zapoznać się z kukiełkami z granej obecnie sztuki wyżej wymienionej autorki p. t. „Bajowe bajeczki i świerszcze skrzypeczki".



W przerwach pomiędzy poszczególnemi scenami na widowni zjawia się ze skrzypcami kierownik szkoły i dyrektor teatrzyka i wraz ze wszystkimi widzami śpiewa zasłyszane piosenki o łatwych i znanych melodjach.

Ożywia to ogromnie nastrój, gdyż dzieci do pewnego stopnia przyjmują udział w widowisku.

Przedstawienia odbywają się w każdą niedzielę o godzinie 11-ej min. 15 i trwać będą do maja.

Na Żoliborz dojeżdża się tramwajami:

Nr. 14, 15 i 17. Z Pragi dojechać można Nr. 4 do Dworca Gdańskiego i dojść piezo (20 minut drogi).

Ceny biletów dla dzieci pojedyńczo — 50 groszy.

Ceny biletów dla dzieci ze szkołą — 25 groszy.

Osoby dorosłe płacą — 1 zł.

Bilety można zamawiać telefonicznie 681-37.

Nie wątpimy, że już w najbliższą niedzielę nasi mili czytelnicy z Warszawy postarają się zobaczyć widowisko w teatrzyku kukiełkowym na Żoliborzu i może zechcą podzielić się wrażeniami z redakcją „Przyjaciela Dzieci". Listy adresować należy do „Robotnika" Warecka 7.

JANEK

Janek jest to urwis wielki
Więc też płata wciąż figielki.
Janek ładny chłopiec, miły.
Lata, biega — co tchu, siły,
Na ulicach ślizgawica
Dzień pochmurny i śnieżyca.
Janek gwizdnął — sunął nogą,
A tu starzec idzie drogą.
„Co ty, bąku, tu wyprawiasz,
Czemu nogi krzywo stawiasz?
Czy ulica to ślizgawka,
Ogród Saski, lub sadzawka?
Gdy przechodzień tu upadnie,
To wyglądać będzie ładnie —
I siniaków się nabawi,
Gdy swą nogę tu postawi,
Albo lepiej — nogę złamie
I przetrąci sobie ramię?"
„Staruszeczku, ja nie przeczę —
Smutnym głosem Janek rzecze. —
Racja — prawda w twoich słowach,
U nas, chłopców, pustka w głowach,
Żeby się posślizgać mile,
Żeby spędzić dobrą chwilę —
Ktoś swą nogę złamać może?
Jaś się przeląkł, wielki Boże,
Lubię w mróz — gdy słońce świeci —
Gdy się dużo zbierze dzieci,
Dokazywać na ulicy
Lub uczepić się woźnicy...
Wtem woźnica trzasnął z bicza,
Janek znów się tem zachwyca —
Później trzasnął Janka srodze,
Jaś na jednej uciekł nodze.



Helena Dawidow.



ŻYDÓWECZKA

Reginka urodziła się w małem miasteczku i spędziła w niem pierwsze lata swego życia.

W ósmym roku zaczęła chodzić do szkoły i uczyć się systematycznie. Pomimo wielkich zdolności i usilnej pracy nauka języka polskiego szła jej opornie, gdyż w domu z rodzicami i rodzeństwem przeważnie mówiła po żydowsku i nie mogła pozbyć się śmiesznego akcentu i specjalnej wymowy niektórych dźwięków.

W miasteczku nikogo to nie raziło, gdyż większość dzieci mówiła podobnie, więc Reginka nawet nie zdawała sobie sprawy że wymowa jej niezupełnie była poprawna.

Aż tu nagle wielka zmiana zaszła w życiu dziewczynki: rodzice jej przenieśli się do dużego miasta i tam umieścili ją w najbliższej szkole powszechnej.

Reginka miała wtedy lat 10.

Zaraz na pierwszej lekcji nauczycielka wywołała ją do tablicy. Reginka doskonale rozwiązała zadanie, lecz jej sposób wymawiania wywołał niemilknące śmiechy dzieci. Jeszcze gorzej poszło z czytaniem. Zaczerwieniona, z oczami pełnemi łez dziewczynka powróciła na swoje miejsce. Z różnych kątów klasy słychać było szepty: „żydówka, żydówka!"; gdy zaś rozległ się dzwonek na przerwę i pani wyszła z klasy, jeden z chłopców wrzasnął tuż nad uchem Reginki:

„Żydóweczka Łajka
Sprzedawała jajka!"

Najbliżej stojące dzieci podchwyciły te słowa i powtarzały je, robiąc różne grymasy.

Reginka czuła się bardzo upokorzoną i dotkniętą temi drwinami, lecz nie umiała na nie zareagować.

Znów zaczęła się lekcja. Choć nauczycielka doskonale wiedziała co działo się w klasie podczas jej nieobecności, udała, że nic nie widzi, gdyż, znając swych uczni, wiedziała, że surowy zakaz dokuczania

Regince, mógł wydać wręcz przeciwny skutek i narazić ją na jeszcze większe przykrości. Postanowiła więc inaczej załagodzić tę sprawę.

W ciągu dnia nie zwracała się do Reginki z żadnem pytaniem, a po lekcjach zatrzymała ją w klasie i łagodnie zapytała:

— Czy mogłabyś, moje dziecko, pozować trochę po lekcjach, pragnęłabym dopomóc ci w opanowaniu polskiego języka?

Dziewczynka zarumieniła się i cichutko szepnęła:

— Oh, dziękuję, dziękuję, jaka pani jest dobra!

I zaczęła się dodatkowa nauka czytania i wymowy. W klasie nikt o tem nie wiedział, a Reginka w dalszym ciągu nie była pytana przez nauczycielkę.

Chłopcy od czasu do czasu przezywali Reginkę, ona jednak nie zwracała na to najmniejszej uwagi, a ta jej obojętność hamowała złośliwość małych łobuzów.

Minęły dwa tygodnie. Pewnego ranka pani rzekła do dzieci:

— Otwórzcie wasze książki ze stronicy 83-ej. Będziemy czytali wiersz Marji Konopnickiej pod tytułem **„Jaś nie doczekał"**, którego nauczycie się na pamięć.

Gdy dzieci otworzyły książki, pani zwróciła się do Reginki:

— A ty, Reginko, choć tu na moje miejsce, by dzieci lepiej słyszały i przeczytaj nam głośno tę poezję.

Lekki szmer przebiegł po klasie. Twarzyczki przybrały złośliwy uśmiech oczekiwania, gotowy w każdej chwili wybuchnąć z nieopanowaną siłą.

Reginka zaczęła czytać... czytała gładko, płynnie i tyle uczucia włożyła w opowiadanie o losie tego dziecka wyzyskiwanych nędzarzy, że zasłuchane dzieci jakby nagle znieruchomiały i zastygły.

Reginka umilkła, a w klasie jeszcze panowała niczem nie zamącona cisza. Niedola Jasia, który nie doczekał przyjścia życiodajnego, wiosennego słońca wyrażona tak rzewnie i prosto przeniknęła do głębi ich wrażliwe serduszka.

Zarumieniona, szczęśliwa i nie mniej wzruszona Reginka, podziękowawszy pani serdecznem spojrzeniem, zajęła swe zwykłe miejsce.

Wrażenie to na długo pozostało w pamięci dzieci i nikt już nigdy więcej nie dokuczał żydóweczce Regince.



MOJE WSPOMNIENIE

Miałem wtedy lat dziewięć. Rok ten pamiętam upostaciowany w wizerunku Juljusza Słowackiego*). Wielokrotnie spotykałem się wówczas z portretem autora bajki „O Janku, co psom szył buty", a od starszych słyszałem niezbyt jasne zdanie „Duch wieczny rewolucjonista", które właśnie miało oznaczać samego poetę. Ta data utkwiła mi w pamięci niezatarcie.

Uliczka, gdzieśmy mieszkali, była mała, wąska, bez wyjścia, zamknięta murami klasztoru szarytek. Zabudowana przeważnie „drewniakami", jakie dziś spotyka się jeszcze na przedmieściach. Mieszkańcy jej to robotnicy, rzemieślnicy lub pogardliwie traktowani w owych czasach urzędnicy. Mówiono o nich z wielkiem lekceważeniem: „A to ten urzędnik za 30 rubli miesięcznie z własnym atramentem!" Zdawałoby się, że na takiej uliczce, dosłownie zabitej deskami, gdyż otaczało ją kilka parkanów, życie płynęło nudne, beztreściwe... A przecież ten warszawski zakątek żył głębokiem życiem patrjotycznem, żył Polską i dla Polski... Wielu mieszkańców naszej uliczki poza pracą zarobkową trudniło się „jakiemiś innemi sprawami"... O tych właśnie innych sprawach mówiono zawsze z wielką ostrożnością, po cichu, nie przy wszystkich... A tych mieszkańców o dwu zajęciach nazywano socjalistami. Socjalista oznaczał na naszej ulicy dobrego Polaka. Socjalista to ten, który dążył do wyzwolenia Polski; socjalista — to Polak, walczący z Moskalami. Rozumiałem wówczas dobrze, że mieszkańcy naszej ulicy odnajmujący pokoje Rosjanom, kłaniający się rewirowemu*) nie są dobrymi Polakami. Ich niktby nie nazwał socjalistami. To też w dziecinnej mojej głowie wyraz socjalista równoważył się ze słowami uświęconemi, jak Polska, Juljusz Słowacki, duch - rewolucjonista, Ojczyzna itd. Wiedziałem, że socjalistów należy kochać, gdyż oni cierpią dla Polski. Zresztą i sam własnemi oczami patrzałem nieraz na ich męki. Kiedy byłem pięcioletniem dzieckiem, widziałem, jak przez naszą ulicę kozacy w czarnych czapach i czarnych szynelach pędzili za bezbronnym tłumem, siekąc szablami. W kilka lat później zrozumiałem, że „czarna sotnia" biła socjalistów. Widziałem też, jak stójkowy zastrzelił uciekającego przez naszą ulicę - socjalistę. Twarz pokrwawionego studenta z sąsiedniej sieni, któremu żandarmi zakładali kajdany, widzę tak dobrze, jakby to się działo wczoraj. Kochałem naszą ulicę, gdyż nazywano ją socjalistyczną. Jak gdyby małą Polskę, za Jej model, uważałem tajemniczy dom naszej ulicy; mieszkał w nim największy miejscowy socjalista — towarzysz Modest. Kochałem go całem dziecięcem sercem, gdyż często rysował mi piękne obrazki z dziejów Polski, dawał mi pocztówki z białym orłem. Miłość moja dosięgła szczytu, kiedy mi podarował książkę p. t. „Dzieje Polski w dwudziestu czterech obrazkach" Wł. L. Anczyca.

Dom, w którym mieszkał towarzysz Modest, nie miał wcale bramy. Były tam ciężko otwierające się drzwi wgłąb długiego, ciemnego korytarza. Wiódł on na sąsiednią ulicę. To też w wyobraźni mojej korytarz ten stanowił drogę Polski tajemniczą, mroczną. Jak nie wiedziałem, kiedy dojdę do końca, czy się nie uderzą o którąś ścianę, chociaż wiedziałem i wierzyłem, że korytarz ten ma kres i jest wyjście na piękny słoneczny świat, tak też ustaliłem sobie przeświadczenie

*) Rok 1909 był jubileuszem urodzin poety.

*) Funkcjonarjusz policji rosyjskiej.

o końcu prześladowań socjalistów, o wyjściu na radosną ulicę Wolności. Głównym bohaterem moich marzeń był ukochany towarzysz Modest. Wysoki, śniadej cery, w dużym czarnym kapeluszu i długiej pelerynie, socjalista z ciemnego przechodniego domu prowadził „robotę" na naszej ulicy. Bywało, że towarzysz Modest znikał na szereg miesięcy. Wiedziałem, że się ukrywa. Wtedy z pewnością przebywał w ciemniejszych jeszcze, niż przechodni korytarz piwnicach. Albo też został uwięziony w cytadeli. Słowo to tak często słyszałem! Nie rozumiałem go jednak, ale bałem się o nie zapytać... Wyraz „djabeł", powiedziany w nocy, nie był dla mnie tak okropny, jak właśnie uczuciem strasznego lęku przejmowała cytadela.

Niema Modesta...

Ulica nasza przybierała wtedy jeszcze posępniejszy wygląd. Wszyscy mieszkańcy stawali się smutniejsi, rozmowy przycichały, potęgowało się życie nocne w piwnicach lub w głębi nowobudowanych kamienic. Wszyscy zaczynali mówić szeptem. W okresie niebytności Modesta ulicę naszą z dziwnem zamiłowaniem odwiedzali żandarmi lub jacyś panowie, których zadaniem było kilkugodzinne wystawanie za murkiem bramy. My, dzieci miewałyśmy wtedy zlecenia od innego towarzysza, Antoniego, aby liczyć, ilu było na naszej ulicy policjantów w ciągu dnia, zapamiętać, do jakiego domu wchodzili. Wiedziałem też dobrze, że pan stojący godzinami w bramie to wróg kochanego Modesta. Czyhał on jak kot na swą ofiarę. Trzeba go było nienawidzieć, nie odpowiadać na zapytania, ale obserwować, czy stoi tylko w dzień, czy też i pod wieczór. Nazywano go słowem „szpicel", którego dzieciom, jako wyrazu nieprzyzwoitego, wymawiać nie było wolno.

Jest Modest...

Wieść ta, przekazywana z ust do ust, budziła w sercach mieszkańców naszej ulicy cichą, szczerą radość. Ale chyba najwięcej z powrotu towarzysza Modesta cieszyłem się — ja... Znów miałem obrazki z polskimi poetami, żołnierzami, słyszałem od niego o Juljuszu Słowackim. Robota dla Polski nanowo przybierała żywe tempo. Odnawiały się potajemne zebrania w naszem mieszkaniu. Zamykano się w drugim pokoju. Zabawa szła mi wtedy jakoś nieswojo. Chodziłem po kuchni pełen niewyjaśnionej radości i lęku. Chciałem coś usłyszeć, podsłuchiwałem, lecz dochodził do mnie tylko niewyraźny szept towarzysza Modesta. Wreszcie, kiedy już zbierało mi się na płacz, towarzysz Modest, jakby odczuwając moje zdenerwowanie, otwierał po cichutku drzwi i wciągał mnie do pokoju. Tu czekała na mnie „robota dla Polski". Serce waliło mi jak młotem. Z całem namaszczeniem z największą otwartością chłopięcego serca pracowałem dla Polski. Czułem się tym dobrym Polakiem — to jest socjalistą. Miałem powierzone sobie zaklejanie kopert. Kiedy skończyłem zalepianie, układałem je w paczki, które potem przygniatałem, siadając na nie. Po takiej „robocie" odczuwałem, że rosnę nietylko jako chłopiec, lecz staje się większym Polakiem!

Wspomniałem poprzednio, że towarzysz Modest podarował mi „24 obrazki z dziejów Polskich". Książką tą zachwycałem się, budziła ona we mnie miłość do tej Ojczyzny, zą którą teraz walczy nasza ulica. Wiedziałem, że wszystko co pochodzi od Modesta, musi być ukrywane przed Moskalami. On i jego rzeczy — to polskie świętości. On jeden sam, bezbronny, a przecież za nim chodzi tyle uzbrojonych żandarmów. Jego rzeczy to drobiazgi, a jednak tak prześladowane. Muszą więc one mieć w sobie cudowną moc działania, coś z nich promieniuje, wsącza się do serca polskiego. Taką również moc miała moja książeczka. To też nie trzymałem jej w domu. Drewniane pudełko po cygarach, zakopane w komórce na końcu pod-

wórza, było tajemniczą skrytką moich „Dwudziestu czterech obrazków". Wiedziałem, że książka ta padłaby pastwą żandarmów tak często rewidujących w naszym domu.

Pewnego wieczoru nie zdążyłem książki zakopać. Zostawiłem ją na półce komórki. Na ulicy naszej panował od jakiegoś czasu spokój. Zebrań nie było. Dlatego bez obawy zostawiłem ją na wierzchu. Idąc spać, nie myślałem o żadnem niebezpieczeństwie. Było to jesienią. Obudziły mnie głośne rozmowy obcych ludzi. Zegar wydzwaniał trzecią po północy. Nade mną stało dwu żandarmów. Jeden z nich ściągał ze mnie kołdrę. W mieszkaniu panował nieład. Drżąc z zimna, z przestrachu, oszołomiony brutalnością żandarmów, nie mogłem znaleźć swego ubrania, gdyż zupełnie zapomniałem, gdzie je z wieczora położyłem. Zresztą być może, iż rewidując wszystko, żandarmi zarzucili w jakiś kąt i moją odzież. Jak ostrzem strzały błyskawicznym lotem przeszyła mi serce myśl o mojej książce, zostawionej właśnie na wierzchu w komórce. Struchlałem. Łatwopłynne łzy jakby zamarzły w oczach, rzucające mną dotychczas, dreszcze ustały momentalnie. Zaciąłem się, skostniałem. Tylko ogromny żal i wyrzuty sumienia poczęły gryźć mi serce. Cały zamieniłem się we wzrok. Wodziłem uporczywie oczami za każdym ruchem żandarmów. Matkę i pozostałe rodzeństwo wyprowadzono do sieni. Dwaj z bronią w ręce stali przy ojcu. Kilku uwijało się po mieszkaniu, przeszukując każdy kącik. Widziałem, że nie znajdują nic obciążającego. Ojciec stał pewien siebie. To też serce krajało mi się w kawałki na myśl, że ja będę przyczyną jego zguby. Wszak tam w komórce na wierzchu pozostała, jako niezbity dowód socjalisty, moja książka, moje obrazki z dziejów Polski. Książka, którą mi podarował największy wróg żandarmów, towarzysz Modest. Przecież wiedziałem dobrze, że wszystko, co od niego pochodzi, należy ukrywać, że wszystko, co on daje, jest uświęcone polskością, a groźne dla wrogów wolności. Wiedziałem o tem dobrze! Chowałem stale do swego pudełeczka od cygar zakopanego w głębi komórki. A tym razem zlekceważyłem tę ostrożność. I teraz zgubię ojca, zgubię całą rodzinę i siebie. Okropny, najokropniejszy w mojem dzieciństwie wyraz cytadeli wypełnił sobą całe me serce, wszystkie myśli moje, zatykał oddech. Czekałem tylko chwili, kiedy żandarmi zażądają klucza od komórki. Czułem, że tego momentu nie przeżyję, że przy słowie komórka pęknie mi serce. Patrzałem na mego ojca, jak zbrodniarz, jak morderca, chciałem paść mu do nóg i błagać, aby mi darował, ale siły opuściły mnie zupełnie... Jak przez mgłę, jak przez sen widziałem wyprowadzenie mego ojca z pokoju, czułem w mózgu każde jego stąpnięcie; zdawało mi się, że jego serce bije w moich piersiach... Dochodził moich uszu wielki lament w sieni... Co się ze mną stało, nie wiem. Widziałem siebie i ojca okutych w kajdany, szliśmy obaj do cytadeli... potem bezsilni, zziębnięci wlekliśmy się po śnieżystych stepach Sybiru, a dreszcz miotał mojem nadmiernie wyczerpanem ciałem. Zapadłem w twardy, bezpamiętny sen, w którym człowiek nie wie nawet, że żyje...

Nazajutrz zrana, kiedy się obudziłem, było już południe. Pierwszym moim czynem po zerwaniu się z łóżka był szybki, wprost bez tchu pęd do komórki. Kiedy otwierałem kłódkę, czułem w głowie zamęt... Książka moja leżała w tem samem miejscu. Chwila ta wróciła mi siły, wiarę w życie. Poczułem się większym Polakiem-socjalistą.

Od tej pamiętnej nocy towarzysz Modest, „Dwadzieścia cztery obrazki z dziejów Polski", socjalizm — wszystko to złączyło się w mojej chłopięcej głowie w jedną największą świętość Polaka.

A—r.